

ROMAN PISARSKI

O PSIE, KTÓRY JEŹDZIŁ KOLEJĄ

I

Włochy to piękny i malowniczy kraj na południu Europy. Każdy, kto spojrzy na mapę, znajdzie je od razu. Mają kształt ogromnego buta.

Na cholewie, a także na obcasie tego buta pełno jest miast i wsi. Łączy je ze sobą sieć dróg i torów kolejowych.

Na mapie wyglądają one jak nitki pajęczyny.

Nie będę wam opisywał krajobrazu Włoch. Kiedyś zapewne przeczytacie wiele ciekawych książek o tym kraju. Kto wie, może nawet niektórzy z was, gdy dorosną, pojedą do Włoch, aby je zwiedzić. Przekonają się wtedy, że żaden opis nie potrafi oddać ich piękna. Bo trudno słowami odmalować prześliczny kolor nieba, które jest tam bardziej niebieskie niż turkus. Trzeba je zobaczyć. Trzeba na własne oczy ujrzeć malownicze stare miasta i miasteczka włoskie, cytrynowe i pomarańczowe gaje, góry i doliny, aby się nimi naprawdę zachwycić.

Posłuchajcie dziś historii, która zdarzyła się we Włoszech. Będzie to opowieść o ludziach i o pewnym psie. O psie, który jak prawdziwy turysta, sam podróżował koleją po całym kraju. Będzie to zarazem opowieść o wielkiej przyjaźni. Nie jest to zmyślona historia. Chociaż dziwna, zdarzyła się naprawdę...

Pewnego dnia...

Tak, pewnego dnia na węzłowej stacji Marittima w środkowych Włoszech oczekiwano na pociąg, który szedł z Turynu do Rzymu. Był upalny lipcowy dzień. Słońce, jak to we Włoszech, grzało tak mocno, że ludzie musieli chować się w cień. Na peronie stacyjnym było pusto, bo wszyscy podróżni ukryli się w poczekalni. Tylko zawiadowca stacji wyszedł przed budynek, włożył urzędową czapkę i zapiął bluzę munduru na ostatni guzik. Słychać już było gwizd zbliżającego się pociągu. Zza kępy drzew, które rosły obok dworca, wysunęła się błyszcząca elektryczna lokomotywa - za nią przemknął sznur wagonów. Zatrzymały się.

Kiedy do pociągu wsiadło kilku pasażerów, zawiadowca podniósł rękę, dając sygnał odjazdu. W tej chwili zobaczył, że z ostatniego wagonu wyskoczył jakiś pies.

Pociąg odjechał, a pies podbiegł do zawiadowcy i zaczął się łaścić. Potem pokiwał ogonem i rozejrzał się dookoła. Tuż przy torze stała pompa stacyjna.

Pies podbiegł do kamiennego zbiornika na wodę, który stał obok pompy, i jednym susem wskoczył na cembrowinę. Kolejarz patrzył, jak psiak chłepcze wodę, wreszcie obrócił

się na pięcie i wrócił do biura.

Zamknął starannie drzwi, zdjął czapkę i pogрузzył się w swoich papierach. Po chwili usłyszał skrobanie do drzwi. Uchylił je i zobaczył znowu psa.

- Czego chcesz? - roześmiał się. Pies usiadł przed nim i popatrzył mu w oczy.

- Czego chcesz? - spytał znowu zawiadowca. - Jesteś głodny?

Spojrzał uważnie na kundla. Było to bardzo miłe kudłate psisko podobne trochę do szpica, a trochę do owczarka.

Oczy miało wesołe i szelmowskie. Jedno ucho sterczało ostro do góry, drugie opadało w dół. Nadawało to psu pocieszny, a zarazem zawadiacki wygląd.

Zawiadowca sięgnął po swój chleb z kawałkiem sera, pokruszył go i poczęstował gościa. Pies był widać głodny, jadł z apetytem, ale nie łapczywie, jak to czasem robią źle wychowane kundle. Kolejarz pogłaskał go.

Poczuł sympatię do tego zwierzęcia i pomyślał, że warto się nim zaopiekować.

Od dawna chciał mieć psa - przyjaciela, który bawiłby się z dziećmi i pilnował domu. Mieszkał dwadzieścia kilometrów od stacji, tuż przy małym kolejowym przystanku. Okolica dookoła jego domu była pusta. „Dzieci ucieszyłyby się, gdybym im przywiózł tego psa” - pomyślał kolejarz.

- Pojechałbyś do mnie? - spytał. Pies zaszczekał cicho i pomerdał ogonem.

Wyglądało na to, że zrozumiał.

- Będzie z tym trochę kłopotu - powiedział zawiadowca. Wiedział, że przepisy kolejowe zakazują surowo przewożenia zwierząt osobowymi pociągami. Jako kolejarz nie mógł naruszyć tych przepisów. Ale bardzo chciał zabrać psa ze sobą. „Coś trzeba będzie wymyślić” - mruknął.

II

Pociąg miejscowy z Marittimy do przystanku obok Piombino, gdzie mieszkał zawiadowca, odchodził dopiero wieczorem. W ciągu kilku godzin, które kolejarz i pies spędzili razem, zdążyli się zaprzyjaźnić. Pies ani na krok nie odstępował nowego pana. Chodził z nim po całej stacji.

Późnym popołudniem obaj wybrali się do bufetu. Zawiadowca jadł podwieczorek i częstował psa.

- Skąd pan go ma? - spytał bufetowy. - Miła psina taką sympatyczną mordę...

- Przyjechał rzymskim pociągiem - wyjaśnił zawiadowca. - Widać ktoś chciał się go

pozbyć i wysłał w podróż. Ludzie mają różne sposoby...

- Tak pan myśli? - roześmiał się bufetowy. - A bilet miał? - Podeszedł do psa i podał mu plasterki kiełbasy.

- Delikatny pies - pochwalił. - Nie rzuca się jedzeniem. Ma honor.

- Mądre psisko - przyświadczyli kolejarze, którzy siedzieli przy stole. - Jak się wabi?
Zawiadowca wzruszył ramionami.

- Ja bym go nazwał „Lampo”[] - powiedział jeden z kolejarzy. - Żywy jak iskra, ślepie mu się świecą, a i grzbiecie ma jasną pręgę - widzicie?

Prawdziwa błkawica nie pies.

- Chodź, Lampo - rzekł zawiadowca. Spodobało mu się to imię. Wstał. Zapłacił w bufecie za podwieczorek i wyszedł. Pies pobiegł za nim.

- I co z tobą zrobię, biedaku? - spytał człowiek - Nie mogę przecież zabrać ciebie do wagonu. To nie takie proste... Miałbym przykrości... Rozumiesz?

Pies pisnął i popatrzył panu w oczy. Minę miał wesołą jakby się uśmiechał.

- A może pobiegiesz za pociągiem? - roześmiał się kolejarz. - To podmiejski. Wlecze się jak zółw. Nie zdążyłbyś?

Pies pomerdał ogonem.

- Zrobione - powiedział zawiadowca. - Uważaj więc. Za kilka minut ruszamy.

Spojrzał na zegarek i skierował się na peron. Kiedy pociąg zajechał, kolejarz wszedł do wagonu i opuścił okno. Pies został na peronie. Czekał na rozkaz.

„Ciekaw jestem, czy zrozumie, o co mi chodzi” - pomyślał zawiadowca.

Lokomotywa ruszyła. Kolejarz wychylił się z okna i cicho zagwizdał. Lampo poderwał się i zaczął biec obok pociągu.

- Mądra psina - ucieszył się człowiek. Kiwnął ręką i pokazał psu kierunek.

Obok toru biegła wąska ścieżka. Pies trafił na nią i pędził równo z pociągiem. Od czasu do czasu zwracał łeb w stronę okna, szukając oczyma znajomej sylwetki.

- Śmiało, Lampo, śmiało! - zachęcał go kolejarz.

Pociąg sunął coraz prędzej. Lampo nie ustawał w biegu. Szczeknął parę razy, jakby chciał zawiadomić swego pana, że czuje się doskonale, i pędził jak chart na wyścigach. Ale po kilku kilometrach gonitwy zaczął się męczyć. Z pyska zwiesił mu się język, nogi zaczęły się plątać. Dyszał.

- Biedaku! - szepnął kolejarz, który nie spuszczał oczu z psa. Kiwnął ręką.

- Zostań! - zawołał.

Pies posłusznie stanął, a potem usiadł na ścieżce. Był bardzo zmęczony.

Ledwo zapał.

III

Nazajutrz kolejarz wrócił do Marittimy porannym pociągiem. Nie miał zbyt wielkiej nadziei, że zobaczy znowu psa.

„Pewnie się gdzieś zabłąkał - myślał. - Albo ktoś go przygarnął”. Szkoda - mruknął.

Wysiadł z pociągu i skierował się do kancelarii. Pierwsze drzwi były uchylone jak zawsze. Zawiadowca wyjął klucz, aby otworzyć drugie, wewnętrzne drzwi, i w tej chwili usłyszał radosny pisk. Z kąta korytarza wyskoczył Lampo.

- Jesteś! - krzyknął zawiadowca. Przytulił łeb psa do swoich kolan.

Lampo łasił się i skakał. Uspokoił się wreszcie i wszedł z zawiadowcą do kancelarii.

- Głodny jesteś? - spytał kolejarz. Rozwinął śniadanie. Zjedli je obaj, a potem pies położył się pod stołem tuż u nóg człowieka. Nie przeszkadzał już panu, który zabrał się do swojej roboty.

Około godziny dziesiątej przez stację miał przejeżdżać pospieszny.

Zawiadowca obciągnął na sobie mundur, wziął czapkę i wyszedł. Pies pobiegł z nim.

Pociąg wpadł na stację i zatrzymał się ze zgrzytem.

- Manttima! - krzyknął konduktor. Wychylił się przez okno i zaszalutował zawiadowcy.

- Marittima - powiedziała do swojej koleżanki jakaś panienka, która wyjrzała zza szyby restauracyjnego wagonu. Nagle roześmiała się i pociągnęła towarzyszkę za rękaw.

- Spójrz na tego psa. - Pokazała palcem.

Było na co patrzeć. Zawiadowca stał w służbowej postawie, wyprężony jak struna. Właśnie podniósł dłoń, aby dać maszyniście sygnał odjazdu. Obok niego usiadł Lampo. Służył, wyciągając przednie łapy. Minę miał uroczystą.

- Pociąg! - roześmiała się dziewczyna w oknie. - Wygląda tak dostojnie, jakby to właśnie on odprawiał nasz pociąg.

Lampo zaszczeakał. Ogromny międzynarodowy ekspres drgnął i ruszył z miejsca.

Zawiadowca poklepał psa.

- Dziękuję ci, Lampo, za pomoc - powiedział.

IV

Tego samego dnia kolejarz złamał przepisy. Wieczorem, gdy na stację zajechał miejscowy pociąg, ukrył psa pod bluzą i wsiadł z nim do wagonu. Znalazł pusty przedział.

Lampo zrozumiał, o co chodzi. Włazł pod ławkę i siedział tam jak trusia aż do końca podróży. W Piombino bez oporu dał się wysadzić na drugą stronę toru. Kiedy pociąg odjechał, pies dogonił pana. Nikt na stacyjce nie domyślił się, że Lampo przyjechał koleją.

- Gina - zawołał zawiadowca na widok córeczki, która otwierała mu drzwi. - Popatrz, kogo przyprowadziłem.

Dziewczynka poczerwieniała z radości i zawołała brata. Mały Roberto aż klasnął w rękę.

- Jak on się nazywa? - spytał.

- Lampo. To dobry pies.

Weszli wszyscy troje do jadalni, gdzie matka ustawiała właśnie na stole talerze do kolacji. Lampo wszedł z powagą, pomerdał uprzejmie ogonem w stronę gospodyni i usiadł grzecznie pod piecem.

- Myślę, że nie będziemy z nim mieli kłopotu - odezwał się kolejarz. - Bardzo mądre psisko.

Opowiedział historię kundla. Wszyscy wysłuchali jej, kręcąc głowami. Nawet mała Adele wychyliła się ze swojego łóżeczka i słuchała ciekawie.

- Pies - krzyczała, klaszcząc w rączki.

Rodzina siadła do kolacji. Lampo jadł, biorąc delikatnie podawane kaski. Nie spieszył się ani nie naprzykrzał. Po kolacji pomachał grzecznie ogonem, jakby chciał podziękować za poczęstunek. Potem wysunął się za drzwi.

- Chcesz się przejść? - spytał zawiadowca. - Dobra myśl.

Wyjął papierosa, zapalił i wyszedł za psem. Ze zdziwieniem zauważył, że Lampo pobiegł w kierunku stacji.

Na przystanek zajeżdżał właśnie ostatni pociąg do Marittimy. Stanął. Pies dobiegł do peronu, pokręcił się chwilę przy ostatnim wagonie i dał nagle susa na stopień. Pociąg ruszył.

- Lampo! - zawołał zdziwiony zawiadowca. Zobaczył, że pies znalazł już wygodne miejsce na platformie wagonu.

- Lampo! - powtórzył człowiek.

Ale pies nie zeskoczył. Czerwone światło latarni wiszącej nad buforem oddalało się coraz bardziej. Pociąg zniknął w ciemności.

V

Następnego ranka, jadąc na służbę, kolejarz rozmyślał o ucieczce swego przyjaciela.

Zawiódł się na nim. Było to przykre. „Dziwny pies” - mruknął.

Przypomniał sobie, jak Lampo po raz pierwszy zjawił się na stacji. Skąd przyjechał? „Włóczykij” - mruknął znowu. Zadumał się.

Tak, to nie był taki zwykły pies, z tych, które widzi się co dzień. Psy nie podróżują same koleją... A ten...

Najdziwniejsze było to, że Lampo zdążył na ostatni nocny pociąg. Skąd wiedział, o której godzinie trzeba wyjść z domu?

„Czyżby znał rozkład jazdy? - uśmiechnął się kolejarz.

- Ale po co uciekał ode mnie? Dokąd pojechał?” - zaczął się zastanawiać.

Pokręcił głową. Tak, to była dziwna historia. Gdyby ją komuś opowiedział, spotkałby się z niedowierzaniem. Ludzie pomyśleliby, że to bajeczka.

Pociąg dojechał do Marittimy. Zawiadowca wyjął z kieszeni służbowe klucze.

Jeszcze nie doszedł do budynku, gdy drzwi biura uchylły się. Wpadł z nich Lampo. Pędził jak prawdziwa błyskawica. Doskoczył do kolan pana, a potem usiadł i zaczął służyć. Minę miał tak filuterną, że zawiadowca wybuchnął śmiechem.

- A więc nie uciekłeś? Pilnowałeś biura, co? Pies pokiwał ogonem.

- W takim razie wybaczam wszystko - ciągnął żartobliwym głosem kolejarz. - Służba to służba! Poklepał psa. Lampo nie przestawał się łaścić.

- Dobrze już, dobrze - powiedział zawiadowca - Nie gniewam się ani trochę.

- Sprytne psisko! - zawołał dyżurny ruchu, który wyszedł właśnie ze swojego pokoiku.

- Czy pan wie, że ten kundelek całą noc warował w korytarzu pod drzwiami pańskiego biura? Nie dał się nikomu odpędzić.

Zawiadowca już otworzył usta, aby opowiedzieć koledze o tym, jak pies sam wszedł do pociągu, aby wrócić do Marittimy. Ale powstrzymał się w porę.

„Nikt w to nie uwierzy” - pomyślał.

VI

Weszło w zwyczaj, że Lampo co dzień wieczorem jeździł ze swoim panem na kolację do Piombino. Podróż spędzał zwykle pod ławką wagonu, siedząc w tym ukryciu jak mysz pod miotłą. Na stacji zeskakiwał chyłkiem na drugą stronę pociągu. Kolejarz nie miał z nim nigdy kłopotu.

Dzieci czekały już na gościa. Piszczwały z uciechy, gdy Lampo wpadał do domu.

Pies na widok małych przyjaciół okazywał tyle radości, że trudno go było nie lubić.

Mały Roberto po prostu go kochał. Pieścił i głaskał, uczył różnych sztuczek. W czasie kolacji pies zawsze siadał obok jego krzesła. Dzieciak oddawał mu najlepsze kąski.

- Czemu on nie chce u nas mieszkać? - pytał ojca. - Tutaj mu przecież najlepiej... - To kolejowy pies - śmiał się zawiadowca. - Musi pilnować mojego biura.

- Ale chociaż w niedzielę może u nas zostać - upierały się dzieci.

- Poproście, może zrozumie i zostanie - żartował ojciec. - Spróbujcie mu to wytłumaczyć.

Lampo nie dawał się jednak uprosić. Co dzień po kolacji o tej samej porze zrywał się z miejsca i zęgnął z domownikami. Nie pomogło zamykanie drzwi.

Skakał wtedy i rzucał się na klamkę. Dzieci pogodziły się z losem. Nauczyły się same wypuszczać psa z domu.

Lampo ani razu nie spóźnił się na pociąg. Być może słyszał go wcześniej niż wszyscy. W każdym razie wybiegał z domu tak punktualnie, jakby w brzuchu miał budzik. Zawiadowca razem z dziećmi odprowadzał go na stację, lecz po pewnym czasie zaniechał tego zwyczaju. Wiedział doskonale, że pies sam i tak trafi do pociągu.

Codziennie rano Lampo oczekiwał na pana przed biurem. Witając się z nim z prawdziwą psią serdecznością, wchodził do kancelarii i zjadał tam przywiezione przez zawiadowcę śniadanie. Przez chwilę siedział jeszcze i patrzył, jak pan zabiera się do pracy. Potem wyruszał na obchód stacji.

- Oho, Lampo zaczyna dyżur - śmiali się kolejarze. Znali go już wszyscy.

Stał się ich ulubieńcem. Byli z niego dumni.

Tak, to był wyjątkowy pies. Przywiązał się do ludzi i zapewne uważał się za pracownika kolei. Lubił swoją stację. Stała się jego domem. Nie było w niej zakątka, którego by nie znał. Co dzień po wyjściu z biura zawiadowcy przechodził wolnym krokiem przez długi, pokryty oszklonym dachem peron.

Kręciło się po nim zwykle sporo podróżnych, ale Lampo nie zwracał na nich uwagi. To nie byli ludzie w mundurach.

- Lampo! - wołali robotnicy stacyjni, którzy wychodzili z narzędziami na tory. - Pójdiesz z nami? Merdał ogonem i przyłączał się do brygady. Na miejscu pracy siedział przyglądając się, jak robotnicy dokręcają śruby.

Nieraz wysługiwali się nim.

- Zanieś klucz - mówili. - Na tamten tor.

Podawali mu narzędzie dla kolegi, który czekał z wyciągniętą ręką. Lampo brał do pyska klucz lub młotek i odnosił gdzie trzeba. Początkowo nie mogli nadziwić się, że taki

spryciarz. Potem przywykli do jego pomocy. Tylko ludzie z przejeżdżających pociągów, widząc psa przy robocie, otwierali ze zdziwienia usta.

W południe pies wybierał się do bufetu na obiad. Czekąca już na niego gotowa porcja, którą zjadał nie marudząc. Wiedział, że nie ma czasu na zbyt długi odpoczynek. O trzynastej miały się dwa pospieszne pociągi.

Była to uroczysta chwila. Zawiadowca wkładał czapkę, otrzepywał mundur i wychodził na peron. Lampo nigdy nie przegapił okazji, aby towarzyszyć swemu panu. Warto było widzieć, z jaką powagą zachowywał się przy odprawie pociągu. Kiedyś, gdy zawiadowca o mało nie spóźnił się na peron, pies narobił w biurze tyle hałasu, że zbiegło się pół stacji. Na tym psie można było polegać!

- Kupię ci czapkę, Lampo - śmiał się zawiadowca. - Dobry z ciebie kolejarz.

Kupił mu piękną obrozę. Stolarz stacyjny zrobił psu skrzynkę na legowisko.

Ustawiono ją w korytarzu obok drzwi biura, gdzie Lampo nocował.

Na stacji żyło kilka bezpańskich kotów, które nocowały w jednej z szop, na stryszku gnieździły się dzikie gołębie. Nie przeszkadzano im tu mieszkać, czasem nawet rzucano okruchy. Ale ani koty, ani ptaki nie należały do brygady stacyjnej. Lampo należał.

VII

- Sprzedaj pan tego psa - powiedział pewnego razu gruby właściciel winnicy.

Przyszedł znowu na stację, prowadząc za uzdę małego osiołka. Odbierał właśnie kilka pustych beczek, które przysłano mu koleją.

- Niech mi pan go sprzeda - powtórzył. - Dobrze zapłacę.

Zawiadowca pokręcił głową.

- Przydałby mi się ten pies - ciągnął winiarz. - Potrzebuję dobrego stróża.

Potoczył beczkę. Osiołek strzygł uszami. Wiedział, że za chwilę obarczą go ciężarem.

Rolnik przyturlał następną beczkę. Związał obie i włożył je na grzbiet osła.

- Jeszcze dwie - mruknął i roześmiał się, widząc jak osiołek strzyże uszami.

Lampo podszedł do kłapoucha i obwąchał jego zwieszony łeb. Zaszczekał.

Bardzo lubił osiołka. Znali się doskonale, bo winiarz często przychodził na dworzec. Osiołek wyszczerzył zęby, jakby się śmiał.

- Patrz pan - powiedział rolnik - Lampo przyjaźni się z moim Grigio. Polubi i mnie. Nie będzie mu źle w winnicy.

Kolejarz wzruszył ramionami. Już nie raz nagabywano go, aby sprzedał psa.

Nudziły go te prośby. Wiedział, że Lampo wróciłby na stację.

Osiolatek, obarczony ciężkim ładunkiem, stęknął. Beczki zasłoniły go zupełnie.

Widać było spod nich tylko jego nogi i uszy. Winiarz chwycił go za uzdę i pociągnął za sobą. Lampo odprowadził osła aż za obręb budynków stacyjnych, potem wrócił. Zawiadowca stał na peronie i patrzył na psa.

„Sprzedać Lampo? - myślał. - Nie, za żadne skarby!” Wiedział doskonale, że gdyby tak zrobił, naraziłby się kolegom, którzy uwielbiali psa. Sam zresztą nie przeboleałby jego straty. Ale Lampo mógł uciec. Przyjechał nie wiadomo skąd. Co by się stało, gdyby pewnego dnia ogarnęła go tęsknota za dawnym domem?

„Głupstwo - pomyślał zawiadowca. - Lampo nie opuści nas nigdy. Przyzwyczył się”.

Wszedł do kancelarii. Lampo siedział na progu.

- Nie uciekniesz od nas? - spytał kolejarz.

Pies pokręcił ogonem. Polizał pana po ręce.

- Nie zdradzisz nas?

Lampo spojrział na pana z takim oddaniem, że zawiadowca się rozczulił.

- Dobry, poczciwy - szepnął, gładząc psa po głowie.

Chwycił go delikatnie za ucho.

- Uwważaj, Lampo - powiedział. - Są ludzie, którzy chętnie zabraliby cię od nas. Nie daj się skusić. I pilnuj się. aby cię kto nie ukradł.

Lampo zaszczekał.

VIII

Lato kończyło się już. Pinie rosnące przy stacji nie traciły koloru, ale kwiaty na kolejowych rabatach zwiędły. Winiarz coraz częściej zjawiał się na peronie - potrzebował ciągle nowych beczek. W winnicy rozpoczęto zbiory.

Lampo urzędował pracowicie, jak zawsze. Zauważone tylko, że od pewnego czasu coraz rzadziej zjawiał się w bufecie. Czyżby jedzenie mu nie smakowało?

- Może karmią go pasażerowie - domyślał się bufetowy. Było mu przykro, że Lampo gardzi jego kuchnią.

- Jeszcze ktoś struje psa - powiedział raz do zawiadowcy. - Powinien pan uważać.

- Co też ci przychodzi do głowy? - zachnął się kolejarz. Zaniepokoił się jednak. Postanowił nie lekceważyć ostrzeżenia.

Zaczął zwracać baczniejszą uwagę na swego pupila. Nie Lampo nie przyjmował

żadnych poczęstunków ani od obcych dzieci, ani od dorosłych. Więc gdzie jadł?

Pewnego popołudnia zagadka wyjaśniła się. Lampo wybiegał zawsze do popołudniowego pociągu. Zawiadowca siedział zwykle o tej porze w biurze przy telefonie. Od lat ów pociąg odprawiał jego zastępcę.

Lampo nie brał udziału w tej odprawie. Nie chciało mu się służyć z wyciągniętymi łapami. Sztuczką tą popisывał się wtedy, gdy wychodził do pociągu z zawiadowcą. Po co więc spieszył się do popołudniowego ekspresu?

Zastępca zawiadowcy zauważył, że pies oczekując na ten pociąg siedział zawsze po drugiej stronie toru. Za trzymujące się wagony zasłaniały go na kilka minut. Co wtedy robił?

Tego dnia zawiadowca, aby nie płoszyć psa, ukrył się w małej budce po drugiej stronie toru. Ekspres zajechał. Lampo pobiegł truchcikiem w stronę wagonu restauracyjnego. Usiadł, wyciągnął łapy i krótko zaszczekał. Okno wagonu opadło. Pojawiła się w nim głowa kucharza w białym czepku.

- Jesteś? - uśmiechnął się kucharz. Rzucił psu przygotowaną porcję smakołyków. Lampo zabrał się do jedzenia.

Zawiadowca schował się głębiej w cień budki. „Nie można psu zabronić jeść tego, na co ma ochotę” - pomyślał. Pokręcił głową. - „Ten Lampo to spryciarz co się zowie” - uśmiechnął się. - „Ale pocziwy” - usprawiedliwił zaraz pupila.

Postanowił nie mówić o tym, co zobaczył. Bufetowy mógłby pogńiewać się na psa.

- A jednak powiem - mruknął po chwili. - Niech starają się o lepsze jedzenie. Nasz dworcowy bufet już od dawna nie dba o gości jak należy.

IX

To, co stało się w tydzień później, poruszyło całą stację. Lampo przepadł.

Zawiadowca szukał go wszędzie. Kiedy przekonał się, że psa nie ma na stacji, poszedł do znajomego winiarza. Jednak ten przysięgał, że o niczym nie wie.

Dróżnicy kolejowi, którzy tego dnia wybrali się na obchód dalekiego odcinka, przetrząsnęli po drodze wszystkie zarośla obok torów. Nie dało to żadnego rezultatu.

- Może Lampo wybrał się do Piombino? - pocieszał zawiadowcę jego młodszy kolega.

- O tej porze? - wzruszył ramionami zawiadowca. - Przecież jeździ tam ze mną co dzień wieczorem.

- Mógł zatęsknić za dziećmi. Może chciał spędzić z nimi cały dzień.

To było możliwe. Kolejarz uspokoił się. Wieczorem, pełen nadziei, pojechał do domu.

Ale okazało się, że psa w Piombino nikt nie widział.

- Co mogło mu się stać? - pytały dzieci. Były smutne i rozczarowane, że Lampo nie przyjechał z ojcem jak zwykle.

- Nie wiem, co mogło się stać - powiedział cicho zawiadowca. Kolacja nie smakowała mu tego wieczoru. Mały Roberto pochlipywał w kącie. Giną skubała fartuszek. Nawet matka straciła humor.

Rano dzieci odprowadziły ojca na stację. Ucałował je serdeczniej niż zwykle.

- Uszy do góry - powiedział. - Przywiozę go dzisiaj.

Nie był pewny, czy uda mu się dotrzymać obietnicy. Serce biło mu mocno, gdy pociąg zatrzymał się w Marittimie. Wskoczył z wagonu i skierował się do biura. Jego zastępca, który stał na progu, rozłożył ręce.

- Nie ma go - powiedział.

Zawiadowca wszedł do kancelarii. Dopiero teraz poczuł, jak wzbiera w nim żal. Wyszedł znowu na peron.

Kolejarze kręcili się po dworcu jak zwykle. Ale opuściła ich ochota do codziennych żarcików.

- Daj mi szklanę wina, Piętro - mruknął zawiadowca wchodząc do bufetu.

Usiadł przy kontuarze i zwiesił głowę.

- Mogli go otruć - powiedział bufetowy. Napenił szklanę. - Mówiłem, że trzeba uważać...

- Nie mów głupstw - poderwał się zawiadowca. - Nie wierzę w to.

Wypił wino. Nie pomogło mu, jak się tego spodziewał. W sercu czuł rosnący niepokój.

W południe wpadł z hukiem na stację pospieszny z Turynu. Zawiadowca stał w swoim zwykłym miejscu. Właśnie podnosił rękę do daszka czapki, aby odpowiedzieć na ukłon znajomego konduktora, gdy na peronie rozległo się szczekanie. Z otwartych drzwi ostatniego wagonu wyskoczył Lampo.

Pociąg odjechał już, ale kolejarz nie mógł się jeszcze uspokoić. Najpierw zrobił surową minę, potem porwał psa na ręce i przytulił do szyi. Postawił go znowu na ziemi i znowu się zmarszczył. 1 - Gdzieś się włóczył? - spytał ostro.

- Jeździł do Turynu - wyjaśnił jakiś głos. - No i wrócił, jak pan widzi.

- Zabrałeś go ze sobą, Edwardo? - zdziwił się zawiadowca.

Edwardo, elektrotechnik, którego wysłał wczoraj do Turynu, uśmiechnął się.

- Nie, proszę pana. Kiedy wsiadałem do pociągu, widziałem tylko, że Lampo

wskakuje do ostatniego wagonu. Zdziwiłem się nawet... - Mogłeś zadzwonić do nas z Turynu, żeś go widział - obruszył się zawiadowca. - Od czego telefon?

Chodziliśmy tu jak struci.

- Skąd mogłem wiedzieć? - rozłożył ręce Edwardo.

- Miałem zresztą na niego oko. Nie zgubiłbym go. Ale on sam wiedział, kiedy wracać - roześmiał się. - Albo mu to pierwszozna? Włazł do powrotnego pociągu bez mojej pomocy. Bez biletu, oczywiście. Taki to cwaniak!

- Dobrze, że wrócił - powiedział zawiadowca.

X

Niezwykła podróż Lampo do Turynu i jego szczęśliwy powrót stały się głośne nie tylko na stacji. Kolejarze, dumni ze swego przyjaciela, pochwalili się jego wyczynem przed ludźmi z miasteczka. Na dworzec zaczęło zaglądać coraz więcej ciekawskich.

- Kundel, zwyczajny kundel - dziwiły się niektóre panusie. Wyobrażały sobie, że pies tak mądry musi mieć niezwykle rasowy wygląd.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedział roztropnie pan aptekarz. - Kundle są właśnie najmądrzejsze. Sam miałem takiego psa...

Aptekarz zaczął opowiadać o swoim psie, lecz przerwał mu właściciel cukierni.

- Prowadziłem kiedyś bufet w cyrku - powiedział - Widziałem wiele psów.

Tresowanych, ma się rozumieć...

- Myśli pan, że to cyrkowy pies? - zaciekawił się burmistrz miasteczka.

- Nie inaczej. Głowę dałbym, że zna różne sztuczki. Uciekł z cyrkowej budy, to jasne jak słońce...

- Zapomina pan, że cyrkowcy jeżdżą zwykle samochodami, a rzadziej koleją - pokręcił głową aptekarz. - Zresztą w cyrku nie uczyliby psa rozkładu jazdy - roześmiał się. - W jaki sposób? I właściwie po co?

Cukiernik wzruszył ramionami.

- Tak czy owak - powiedział - to uczonego pies.

- Mądry - zgodził się aptekarz.

Ludzie przychodzili jeszcze przez kilka dni. Bufetowy na dworcu zarabiał teraz znacznie więcej. Ciekawscy, którzy odwiedzali jego lokal, pili sporo wina i jedli dużo ciastek. Ale zawiadowca miał dość tych gości. Toteż odetchnął z zadowoleniem, gdy ich wizyty wreszcie skończyły się.

Lampo znowu się ustatkował. Jak dawniej „pełnił służbę” - pomagał robotnikom i pilnował kancelarii pana. Wieczorem jeździł jak dawniej z zawiadowcą na kolację do Piombino. Znano go już i na tamtej stacji.

Nikt nie spodziewał się, że psu przyjdzie kiedyś do głowy pomysł, aby znowu wyruszyć w nieznaną. Było mu przecież tak dobrze. Kolejarze rozpieszczali go, jedzenia miał pod dostatkiem... I taki był przywiązany do swojego pana!

Ale pewnego dnia zniknął znowu.

Tym razem zawiadowca nie martwił się już. Wiedział, co robić. Usiadł przy telefonie i zaczął dzwonić. W Turynie nikt nie widział psa. Nie wiedziano też o nim ani w Salazzo, ani w Savona, ani w Genui. Dyżurni ruchu, do których dzwonił nieznany kolega z małej stacji, byli zdziwieni. „Co za pies?” - pytali. Niektórzy nie mogli powstrzymać się od żarcików i kpin.

Inni odkładali słuchawkę.

Kolejarz nie dawał za wygraną. Kiedy przekonał się, że na północnych stacjach nie ma co szukać, zaczął dzwonić na Południe. W Orbetello jakiś głos ofuknął go.

- Pajaca pan ze mnie robi? Od kiedy to psy jeżdżą same koleją?

Zawiadowca zmęczył się już, ale jeszcze nie ustawał. Po raz ostatni podniósł słuchawkę i wywołał Rzym. Znużonym głosem powtórzył swoje pytanie. I wtedy dyżurny w Rzymie zapytał:

- Jak wygląda ten Lampo?

- Ma jasną pręgę na grzbiecie - wyjaśnił z bijącym sercem zawiadowca. Opisał dokładnie psa.

- To ten - roześmiał się głos w słuchawce. - Jest. Siedzi u nas w dyżurce.

Sam tu trafił. Nakarmiliśmy go, oczywiście...

- Dziękuję - ucieszył się zawiadowca. Gdyby mógł, uściskałby swego rozmówcę.

- To mówi pan, że pies sam przyjechał? - zaciekawił się głos. - Niebywałe!

- Tak - odpowiedział zawiadowca. - Niech go pan wsadzi do pospiesznego, który idzie do Turynu.

- Zrobione! - obiecał kolega na drugim końcu drutu. - Może pan być zupełnie spokojny. Odzyska pan swojego przyjaciela. Tylko czy pies będzie wiedział, gdzie ma wysiąść?

- Tak. Chyba tak - powiedział zawiadowca.

- A więc dobrze. Wyślę psa, choć sam zatrzymałbym go chętnie u siebie - powiedział głos. Wyłączył się. Zawiadowca położył słuchawkę i otarł czoło.

XI

Wieść o niezwykłym psie zaczęła roznosić się po całych Włoszech. Bo Lampo po kilku tygodniach odpoczynku znowu zaczął podróżować. Trudno mu było tego zabronić. Zawsze zresztą potrafił wybrać chwilę, kiedy nie zwracano na niego uwagi. Wślizgiwał się wtedy do pociągu i odjeżdżał. Kolejarze na wielu odległych dworcach znali go już i wiedzieli, że to podróżnik z Marittimy.

Stacyjka, o której istnieniu wiedziało dotychczas niewiele, stała się teraz znana w całym kraju.

- Przyjechał! - dzwonili do zawiadowcy koledzy z różnych miejscowości. - Możecie być o niego spokojni. Nakarmimy i odeślemy.

Nie zawsze wsadzali psa do pociągu. Nie wszyscy mieli ochotę się go pozbyć.

Pewien kolejarz z Rapallo chciał go po prostu przywłaszczyć. Ale Lampo uciekł i wrócił do Marittimy. Żadna siła nie mogłaby go zatrzymać w obcym miejscu. Tylko Marittima była jego domem, a tutejsi ludzie - jego rodziną.

Kochał ich, bo sam był kochany. Może domyślał się, że sprawia im czasem kłopot, ale wiedział, że nie potrafiliby się na niego pogniewać.

Rozpieszczali go.

Dzieci zawiadowcy przejeżdżały nieraz do ojca. Kolejarz uśmiechał się, bo wiedział, dlaczego to robią. Gina spacerowała wtedy z psem po peronie, a szczęśliwy Roberto śmiał się jak nigdy w domu.

- Kochasz nas, Lampo? - pytały dzieci, gładząc puszystą sierść psa. Patrzył na nie z takim przywiązaniem i miłością, że rozumiały go bez słów.

Pewnego dnia do Marittimy zadzwonił redaktor jakiejś gazety.

- Czy to u pana jest ten cudowny pies? - spytał.

- Lampo? - roześmiał się zawiadowca. - Tak.

- Pozwoli pan, że przyjadę - powiedział redaktor.

Zjawił się następnego dnia z aparatem fotograficznym i sporym notesem.

Zrobił kilka zdjęć, a potem długo rozmawiał z zawiadowcą o przygodach psa.

Zapisywał coś w notesie. W dwa dni później w gazecie ukazał się bardzo ciekawy artykuł, w którym były i fotografie Lampo, i opis jego wędrówek.

„Lampo to urodzony podróżnik” - napisano czarno na białym. „Jest chlubą całej stacji”. - Gazeta chwaliła także kolejarzy. „Tylko ludzie, którzy mają złote serca, mogą przywiązać do siebie takiego psa” - pisał redaktor. „Lampo wraca zawsze tam, gdzie czuje się

najlepiej”.

- Widzisz, Lampo, coś narobił? - śmiali się kolejarze, którzy przeczytali gazetę. - Teraz nawet w Turynie wszyscy o nas wiedzą.

Lampo wysunął język. Dyszał, bo było mu gorąco. Minę miał taką, jakby się śmiał. „A widzicie - zdawały się mówić jego filuterne oczy - co ja potrafię?”

XII

- Czy to ty jesteś tym słynnym Lampo? - spytał kelner wagonu restauracyjnego. - Poznają cię z fotografii - powiedział.

Pospieszny pociąg mijał właśnie stację w Sapri. Było to daleko za Neapolem.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś do mnie - odezwał się kelner.

Lampo dał się pogłaskać. Usiadł grzecznie na podłodze w korytarzyku. Kelner przyniósł mu kawałek mięsa na podstawce.

„Takiego psa nie widziałem jeszcze nigdy w życiu” - pokręcił głową. - „Jesteśmy oddaleni prawie tysiąc kilometrów od tej jego Marittimy - pomyślał. - W jaki sposób to psisko przesiadło się na nasz pociąg? Musiał przecież przesiąść się w Rzymie...”

Pies kończył posiłek. Zlizął resztki jedzenia i odsunął delikatnie talerz.

Pokiwał przyjacielsko ogonem i zaczął się łąsić. Kelner pogładził go po głowie. - Che posse fare per lei? Co mogę jeszcze uczynić dla pana? - roześmiał się - Capisce cio che dico? Czy pan mnie rozumie? Nie prześpi się pan po obiedzie?

Zaprowadził psa do przedziału służbowego i przygotował mu poślanie. Potem zamknął starannie drzwi.

„Chciałbym mieć tego kundelka - myślał. - Tylko gdzie bym go hodował? Całe życie spędzam w pociągu...”

Wyszedł na korytarzyk i stanął przy oknie.

„Właściwie po co on jeździ?” - zaczął się zastanawiać „Lubi zwiedzać obce miasta” - odpowiedział sam sobie. Czuł, że nie jest to właściwa odpowiedź.

„A może szuka dawnego właściciela? - mrukną - Może nie potrafi o nim zapomnieć? To całkiem prawdopodobne...”

Zamyślił się. Jak inni, usiłował wyjaśnić sobie powód niezwykłych wędrówek psa. Skąd jednak można było wiedzieć, który domysł jest trafny?

„Może lubi ruch - pomyślał znowu. - Lubi pęd pociągu i turkot kół, które dudnią pod podłogą. Są przecież psy, które podróżują nawet raketami”.

Pokręcił głową. Wiedział dobrze, że słynne pieski nie wsiadały przecież same do rakiet. Wysyłali je ludzie... Jak bagaż...

- Tego nikt nie wysyłał - szepnął. - I w tym cała zagadka... Naprawdę, trudno ją rozwiązać...

- Carlo! - zawołał z głębi wagonu kucharz. - Goście czekają na ciebie.

Kelner poszedł między stoliki, przy których siedzieli zgłodniaли podróżni, i zaczął odbierać zamówienia. Ale był roztargniony jak nigdy... Ciągle myślał o małym włóczędzie.

W Reggio, daleko na południu, tam gdzie jest sam szpic włoskiego buta, pociąg zatrzymał się. Kelner, który zdążył już obsłużyć wszystkich gości, odsapnął. Postanowił zajrzeć do psa. Drzwi przedziału służbowego były uchylone...

„Nie zamknąłem dokładnie” - pomyślał kelner. Wszedł do przedziału. Nagle zaniepokoił się.

Psa nie było.

Lampo wysiadł z pociągu jeszcze w miejscowości Paola. Jaki miał plan, nie wiadomo. Może uznał już, że czas wracać?

Dłuższą chwilę kręcił się po stacji. Nie zwracano na niego uwagi. Być może w Paoli nikt jeszcze o nim nic nie słyszał. I o najślynniejszych ludziach nie wszyscy i nie wszędzie wiedzą, cóż dopiero o psie.

Lampo czekał spokojnie na pociąg. Instykt nie omylił go - udało mu się trafić na peron, z którego odchodził ekspres w kierunku północnym. Sporo pasażerów czekało na ten pociąg. Gdy nadszedł, zaczęli się tłoczyć przy wejściach do wagonów. Lampo usiłował wśliznąć się między wsiadających, ale odpychano go. Wreszcie, kiedy pociąg ruszał, udało mu się wskoczyć na stopień. W tej chwili uczuł przeszywający ból. Automatyczne drzwi wagonu zatrzęsły się i ścisnęły go jak kleszcze.

Był tak oszołomiony, że nie wydał z siebie głosu.

- Pies! - krzyknęła jakaś pani. - Patrzcie, co dzieje się z tym psem! Zadusi się!

Lampo zwiesił głowę. Z oczu ciekły mu łzy.

- Ratunku! - krzyczała pani. - Zatrzymajcie pociąg!

Jakiś pasażer w głębi wagonu, nie wiedząc, o co chodzi, pociągnął za rączkę hamulca. Pociąg stanął.

Zrobiło się zamieszanie. Konduktorzy zbiegli się, aby zbadać, co się stało.

Pasażer, który zatrzymał pociąg, ocierał pot z czoła i tłumaczył się.

- Przecież ktoś wołał o ratunek! Działalem w dobrej wierze.

- To chodziło o psa - wyjaśniła pani.

- Jakiego psa?

Wszyscy rozejrzeli się dookoła.

- Nie ma go!

- Zapłacicie karę - powiedział konduktor. Odezwały się wzburzone głosy.

Także i we Włoszech ludzie potrafią się kłócić.

O psie zapomniano.

XIII

Lampo miał złamane dwa żebra i nogę. W chwili, gdy pociąg zatrzymał się, a drzwi uchyliły, upadł na tor i zsunął ze stromego nasypu. Ostatkiem sił poczołgał się do kępy krzaków rosnących w rowie. Wpełzł pod liście. Dlatego nie mogli go zobaczyć pasażerowie z pociągu.

W dwie godziny później znalazła go jakaś wieśniaczka, która pędziła osła.

Usiadła akurat pod krzakiem, aby odpocząć.

- A kto cię tak oporządził, chudziaku? - spytała. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła psa. Patrzył jej w oczy, jakby prosił o ratunek. Zbadała jego rany.

Poczuła taką litość, że o mało się nie rozplakała. Delikatnie podniosła Lampo i wsadziła go do wielkiego kosza, umocowanego na grzbiecie osiołka.

- Już się mój Piętro tobą zajmie - mruknęła. Mąż jej był owczarzem i umiał nastawiać złamane kości. Zaopiekował się Lampo. Nie wróżył mu jednak długiego życia.

- Okrutnie pobity - powiedział. - Może się wylize, ale nie widzi mi się, aby tak było. - Pokręcił głową. Zabandażował psa jak kukłę.

Lampo chorował bardzo długo. Dopiero po miesiącu zaczął chodzić po podwórku.

Utykał ciągle na nogę.

- To mu już chyba zostanie - mrucał owczarz. - Noga rozprostuje się jeszcze, ale i tak będzie krótsza.

Masował psu łapę. Lampo lizał go po ręce. Przywiązał się do tego człowieka.

Ale w sercu czuł dziwny niepokój. Kiedy zasypiał, nawiedzały go jakieś sny, bo skomlał jak małe szczenię.

Starzy karmili go, czym mogli. Chociaż byli biedni, nie żalowali mu mleka i kaszy. Razu pewnego, gdy zabili kure, dali mu spory kawałek mięsa. Jednak taka uczta nie trafiała się co dzień.

Przyszła już zima. Tego roku była ostrzejsza niż zwykle. Nawet tu na Południu spadł

raz śnieg. A deszcze lały bardzo często. Lampo wolał siedzieć w chałupie. Miał wygodne legowisko obok kuchennego pieca.

- No i jak tam, piesku? - pytała gospodyni. Bardzo polubiła tego znajcę.

- Nie mamy dzieci ani wnuków - mówiła. - Ale mamy ciebie, chudzino.

Patrzył jej w oczy. Kochał tych ludzi i czuł, że nie może ich opuścić. Nie odzyskiwał jednak spokoju. Robił się coraz smutniejszy i bardziej apatyczny.

- Przyjdzie wiosna, piesku - pocieszała go kobieta.

- Cni ci się za zieloną trawą, wiem. Przyjdzie wiosna, to ozdrowiejesz. A może już dziś pobiegałbyś po polu? - Otworzyła drzwi.

Nie ruszał się z posłania.

- Słabyś jeszcze jak mucha - pokiwała głową staruszka.

XIV

Początkowo zawiadowca nie martwił się, gdy Lampo znowu się zawieruszył.

Zdarzało się to przecież nie pierwszy raz. Wiedział, że pies, choćby zawędrował daleko, wróci po kilku dniach. Lecz po tygodniu zaczął się poważnie niepokoić.

Dzwonił już kilkakrotnie do wielu kolegów, ale na żadnej stacji nie widziano psa.

- Mogli go ukraść i wywieźć nie wiadomo gdzie - mruczał bufetowy. Ten człowiek wszystko zawsze widział w ciemnych kolorach.

- Mogli go i ukraść - wzdychali kolejarze. Chodzili smutni i przyglądali się uważnie przejeżdżającym pociągom.

- Mam pomysł - powiedział któregoś dnia zastępca.

- Może zwrócilibyśmy się o pomoc do znajomego redaktora? Nie możemy dzwonić bez końca na wszystkie dworce.

A jeśli ogłosimy komunikat o psie w gazecie, to przeczytają nie tylko kolejarze.

Zawiadowca skorzystał z rady kolegi i zadzwonił do redakcji. W kilka dni później w gazecie ukazał się komunikat o zaginionym psie wraz z jego fotografią. Artykuł przeczytało bardzo wiele osób. Kilku czytelników napisało do redakcji gazety, że widziało psa.

„Mam pieska, który się błąkał - zwierzała się pewna staruszka z Mediolanu. - Ale ten pies nie ma pręgi na grzbiecie”. - „Zaopiekowałem się osieroconym szczeniakiem - donosił jakiś pan. - Jest to młody buldog. Czy Lampo jest buldogiem?” - pytał pan, chociaż powinien był wiedzieć z opisu umieszczonego w gazecie, jak wyglądał zaginiony pies.

Prawie wszystkie listy pochodziły od ludzi albo roztargnionych, albo nieuważnych. A

niektórzy korespondenci pisali, bo chcieli wyrazić kolejarzom swoje szczere współczucie.

Szczególnie miły był zbiorowy list uczniów pewnej szkoły w Turynie. Napisali oni wprost na stację. „Bardzo nam przykro, że Lampo zginął - tak zaczynał się list. - My dobrze rozumiemy pana żmartwienie. W naszej szkole w zeszłym roku także był pies, który mieszkał u dozorczy. Bardzo go lubiliśmy, ale ten pies wpadł pod samochód...”.

List był bardzo serdeczny, lecz kolejarzy nie pocieszył. Przeciwnie, posmutnieli jeszcze bardziej.

Redaktor gazety po kilku tygodniach umieścił jeszcze jedno ogłoszenie. I tym razem nie pomogło. Ani ten, ani poprzedni numer gazety nie trafił do małej wioski na południu Włoch. Zresztą starzy ludzie, którzy przygarnęli Lampo, nie czytali dzienników...

Przyszła wiosna. Wybuchła od razu, jak to bywa w Kalabrii. Pewnego dnia zazieleniły się drzewa, a migdałowce i magnolie pokryły się różowymi kwiatami.

Lampo przyszedł już zupełnie do sił. Całymi dniami wylegiwał się w słońcu lub łąził po podwórku. Ciągle był smutny.

- Dziwny stwór z ciebie - mrucał jego opiekun. - Powinieneś skakać jak pies, a łązisz jak ślimak. Przecież kulas cię już nie boli?

Lampo kładł łeb na kolanach staruszka i patrzył mu w oczy.

- Co cię gnębi? - pytał owczarz. - Nie martw się, nie zginiesz. Żebym wiedział, co ci jest, tobym ci pomógł. Ale nie wiem...

Podejrzewał jednak, że pies musi tęsknić za dawnym opiekunem. Toteż nie zdziwił się, gdy któregoś dnia Lampo zniknął i nie pokazał się więcej.

- Ano cóż - powiedział stary. - Tak już widać musiało być. Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego...

- Nie frasuj się - pocieszał żonę, która ocierała nos w fartuch. Bardzo zmarkotniała po stracie psa.

- Nie frasuj się - mrucał. - Jakby mu źle było u dawnego pana, to by do niego nie wracał. A jeśli chciał wrócić to znaczy, że mu tam było dobrze...

Udało mu się po jakimś czasie uspokoić staruszkę. Ale psa wspominali oboje jeszcze bardzo długo...

XV

Zawiadowca siedział w kancelarii, gdy Lampo wszedł i zbliżył się cicho do stołu. Tracił pana w rękę wilgotnym nosem i usiadł u jego nóg. Drżał na całym ciele.

- Lampo - wyszeptał człowiek. Podobnie jak pies, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Obu łomotały serca.

W kilka minut później o powrocie psa wiedziała już cała stacja. Kolejarze stłoczyli się w małym pokoju i podawali sobie ulubienca z rąk do rąk.

- Jaki zmizerowany! - użalał się bufetowy.

Niektórzy ocierali ukradkiem łzy. Lampo ocknął się wreszcie z odrętwienia i zaczął skakać. Biegał od przyjaciela do przyjaciela, szczekał i piszczął.

- Opowiadasz o swoich przygodach? - śmiali się ludzie. - O, bracie, gdybyś umiał mówić...

Zawiadowca zawiózł wieczorem psa do Piombino. Aby przygotować dzieci na dobrą nowinę, posłał do domu znajomego dróżnika. Sam poczekał z psem na stacyjce.

Dróżnik sprawił się jak należy. Najpierw zmrugał oko, a potem wypalił od razu:

- Co byście zrobili, gdyby tak Lampo wrócił?

- Widział go pan? - spytał podejrzliwie Roberto.

- Nie widziałem - powiedział sprytnie dróżnik - ale gadają ludzie, że on już jest.

- Nie wierzę - pokręcił głową chłopiec.

- Nie wierzysz? To chodź! - zaśmiał się dróżnik.

Dzieci pobiegły pędem na stację. Lampo wyrwał się panu i popędził im naprzeciw. Wpadli na siebie i odtańczyli przed domem taniec radości. Malutka Adele, która zaczynała już chodzić, wyszła na próg. Objęła psa za szyję.

- Zostaniesz dzisiaj z nami - mówiły dzieci. - Bo jak nie, to pogńiewamy się na zawsze. Gdzieś był tak długo?

Roberto, bawiąc się z przyjacielem, zauważył zgrubienie na jednej z jego łap. Pokazał je ojcu.

- To ślad złamania - stwierdził zawiadowca, przyjrzawszy się dokładniej nodze. Pokiwał głową.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie było go tak długo - mruknął.

Następnego dnia na stację w Marittimie przyjechał jakiś nieznany kolejarz.

Jak się okazało, właśnie on przywiózł Lampo wczorajszym pociągiem.

- Wiedziałem, że to wasz pies - powiedział do zawiadowcy. - Wysadziłem go tutaj, ale chciałbym go jeszcze zobaczyć. Mam dzisiaj wolny dzień, więc wstąpiłem...

Opowiadał, że psa przekazał mu kolega, który przyjechał daleko z Południa.

Kolega ten słyszał kiedyś o wypadku psa i pamiętał go z pociągu. Potem o nim zupełnie zapomniał, ale poznał go, kiedy przed tygodniem Lampo zaczął odwiedzać dworce

w Reggio, Palmi, Paola i Sapri. Pies błąkał się od jednej stacji do drugiej, jakby szukał czyjegoś śladu. Wreszcie trafił na pociąg idący do Rzymu. Wtedy przypomniał go sobie kelner z wagonu restauracyjnego.

On właśnie poradził konduktorowi, aby w Rzymie przesadzić psa na pociąg turyński.

- Gdzie Lampo miał ten wypadek? - spytał zawiadowca.

- W Palmi albo w Reggio. Nie wiem tego dokładnie - powiedział kolejarz. - W każdym razie daleko stąd... Gość pobawił się z Lampo, posiedział jeszcze godzinę i pojechał. Tego samego dnia zadzwonił znajomy redaktor, który dowiedział się już o powrocie małego podróżnika. To, co teraz usłyszał, bardzo go zaniepokoiło. Zapowiedział, że zjawi się nazajutrz.

- W dwa dni potem w gazecie ukazał się artykuł ozdobiony zdjęciami psa. Były tam także podobizny kolejarzy, a nawet zdjęcie domku zawiadowcy i fotografie jego dzieci.

„Lampo, który zawsze wraca” - brzmiał tytuł artykułu. Redaktor przypomniał raz jeszcze o niezwykłych zamiłowaniach psa i pochwalił jego prawie ludzki rozum. Powrót Lampo z dalekiego Południa został opisany tak pięknie i ciekawie, że czytelnicy wrywali sobie gazetę z rąk. Potem posypały się listy do redakcji. Dzieci i dorośli zaczęli coraz natarczywiej domagać się, aby napisać im więcej o cudownym psie. Także zawiadowca dostał sporo listów z różnymi zapytaniami i prośbami o fotografie Lampo. Oczywiście, nie mógł wszystkim odpisywać...

Wkrótce na stacji zjawili się wysłannicy rzymskiej telewizji. Nakręcili całą rolkę filmu. Radio zaczęło nadawać kolejne audycje o psie - podróżniku. Jeden z muzyków skomponował piękną piosenkę i dał ją nagrać na płytę. Po miesiącu wszyscy Włosi znali jej melodię. Była bardzo wesoła, a w jej refrenie powtarzało się szczekanie psa.

Pewnego wieczoru przed domkiem zawiadowcy w Piombino zatrzymała się elegancka czarna limuzyna. Wsiadł z niej jakiś pan.

- Jestem amerykańskim filmowcem - powiedział. - Chcę kupić tego psa.

- On nie jest na sprzedaż - powiedział zawiadowca. - Dam pięćdziesiąt dolarów - uśmiechnął się pan.

- Nie rozstanę się z Lampo - wzruszył ramionami kolejarz.

- Sto dolarów.

- Nie.

- Pięćset - powiedział filmowiec. Wyjął portfel. Ale zawiadowca pokiwał przecząco głową.

- Źle pan robi - mruknął Amerykanin. - Krzywdzi pan psa, któremu u mnie

powodziłoby się lepiej. Okrada pan siebie i swoją rodzinę...

- Nie mogę się z nim rozstać - powiedział zdecydowanie kolejarz.
Amerykanin bez słowa wszedł do limuzyny i zatrzasnął drzwiczki.

XVI

Naczelnik z dyrekcji kolejowej, który wezwał do siebie zawiadowcę, był w bardzo złym humorze. Chodził po swoim gabinecie i marszczył brwi. Kiedy zawiadowca wszedł, powitało go groźne milczenie. Kolejarz stanął przy biurku.

- Domyśla się pan, o co chodzi? - spytał wreszcie przełożony. Zawiadowca pobrał.

- Tak - powiedział.

- Trzeba z tym skończyć! - wybuchnął naczelnik. - Kolej, drogi panie, nie jest ani cyrkiem, ani ogrodem zoologicznym. Dworce nie są i nie mogą być przytułkami dla zwierząt!

Kolejarz milczał.

- Nawet lubię psy - powiedział łagodniejszym tonem naczelnik. - Ale nie mogę pozwolić, aby na pańskiej stacji działy się takie rzeczy jak ostatnio... Nie możemy dostarczać rozrywek publiczności. A tymczasem Marittima stała się już wesołym miasteczkiem. Może pan zacznie sprzedawać bilety wstępu?

Naczelnik zaczynał wyraźnie kpić. Zawiadowca wiedział, że nie jest to właściwie zły człowiek. Miał jednak opinię służbisty i lubił za takiego uchodzić. I, co tu gadać, racja była teraz po jego stronie... Sprawa Lampo stała się zbyt głośna...

- Widziałem niedawno fotografię tego psa - mruknął naczelnik. - Jakiś dowcipniś sportretował go z kolejową czapką na łbie i fajką w pysku. Czy pan nie uważa, że to godzi w powagę naszego munduru?

- Tak - powiedział zawiadowca. - Ale nie ja kazałem zrobić to zdjęcie...

- „Lampo przy semaforze”, „Lampo w czasie służby”, „Lampo w wagonie restauracyjnym” - zaczął wyliczać naczelnik. - Sądzę, że nie robił pan żadnego z tych zdjęć... Ale odpowiada pan za wszystko, co się dzieje na dworcu... Tak czy nie?

- Tak, panie naczelniku - pochylił głowę kolejarz.

- Mógłbym pociągnąć pana do odpowiedzialności - sapnął naczelnik. - Nie zrobię tego... Ale, krótko mówiąc, musi pan usunąć psa ze stacji... To wszystko. Żegnam.

Kolejarz skłonił się i skierował do wyjścia. Na progu dobiegło go kasznięcie.

- Proszę poczekać - powiedział cichym głosem naczelnik. - Przecież nie zmuszam, aby wyrzucał pan psa na bruk. Może go pan zatrzymać u siebie w domu... Oczywiście pod

warunkiem, że weźmie go pan na łańcuch... Można go zresztą oddać w dobre ręce... Sądzę, że znalazłoby się wielu ludzi, którzy wzięliby chętnie takiego psa...

- Postaram się zrobić tak, aby nie było już powodów do skarg - powiedział cicho zawiadowca.

- Dziękuję - mruknął przełożony. Podał kolejarzowi rękę.

Po wyjściu z gabinetu zawiadowca otarł chustką czoło. Idąc na stację był tak zamyślony, że potraçał przechodniów.

Nie patrząc na ludzi wsiadł do pociągu. Miał teraz czas na rozmyślenia aż do samej Marittimy...

„Zatrzymać psa w domu?” - zastanawiał się. Nie, wiedział, że to niemożliwe.

Lampo czułby się bardzo nieszczęśliwy na łańcuchu. Nie przeżyłby takiej niewoli...

„Sprzedać? - Opuścić głowę. - Nie sprzedaje się przyjaciół” - mruknął.

Można było jedynie wysłać psa bardzo daleko i zapewnić mu w nowym miejscu troskliwą opiekę... Zawiadowca zaczął zastanawiać się, czy zna kogoś, komu mógłby powierzyć Lampo. Myślał długo. Ale gdy pociąg dojeżdżał do stacji, wiedział już, co zrobi. Przypomniał sobie, że na Sycylii ma starego wuja.

Pocziwiec mieszkał w Palermo...

„Tak, to jedyne wyjście z sytuacji” - pomyślał kolejarz. Wuj był od wielu lat wdowcem, kochał zwierzęta oraz posiadał piękny ogród. A Sycylia, jak wiadomo, jest wyspą...

„Lampo będzie musiał tam zostać - mruknął. - Nie wróci...”.

XVII

Odpowiedź na list wysłany w sprawie psa do Palermo nadeszła po kilku dniach.

Stary ogrodnik zgodził się chętnie na projekt swojego siostrzeńca.

„Myślę, że zaprzyjaźnię się z twoim Lampo - pisał.

- Potrzeba mi mądrego psa. Jeśli nie możesz przywieźć go osobiście, postaraj się go wsadzić w Neapolu na statek «La Bandiera». Pływa na nim mój dobry znajomy, który obiecał zaopiekować się Lampo aż do samego Palermo. Bądź spokojny, wszystko ułoży się pomyślnie...”.

List był obszerny i kończył się pozdrowieniami dla całej rodziny. Kolejarz po przeczytaniu go uspokoił się. Wiedział, że musi działać natychmiast. Aby nie martwić kolegów i dzieci postanowił nie zdradzać im swojego planu.

„Będą sądzić, że Lampo wybrał się znowu na włóczęgę - myślał. - Potem zapomną”.

Do tajmnicy został dopuszczony tylko jeden z telegrafistów. Młody ten człowiek wyjeżdżał właśnie na urlop do rodziny, która mieszkała w Neapolu.

Zawiadowca wręczył mu karteczkę z nazwą statku i nazwiskiem marynarza, który obiecał zaopiekować się psem w czasie podróży do Palermo.

- Załatwione. Niech pan będzie spokojny - powiedział młody człowiek. Tego samego wieczoru wsiadł z psem do pociągu. Już nazajutrz rano zatelefonował na stację.

- Czy pan wie, że Lampo dał drapakę? Związał z pociągu zaraz za Rzymem.

- Gdzie to było?

- W Yelletri - powiedział chłopiec. - Bardzo mi przykro...

Kolejarz położył słuchawkę. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać...

Lampo zjawił się na stacji w dwa dni później. Wysiadł z ekspresu z miną tak zadowoloną, że zawiadowca nie miał siły się gniewać. Ostatecznie zaletą psa było to właśnie, że zawsze wracał do domu... Jeszcze tego samego dnia kolejarz uprosił znajomego konduktora z rzymskiego ekspresu, aby zabrał ze sobą psa i wysłał go po przyjeździe do stolicy w dalszą podróż. Telefon, który odezwał się w kilka godzin później, był tym razem pomyślny.

- Dojechaliśmy szczęśliwie do Rzymu - dzwonił konduktor. - Właśnie przed chwilą przekazałem psa kierownikowi pociągu, który wyjeżdża do Neapolu. To bystry gość. Niech się pan nie obawia, ręczę, że dostarczy naszego pasażera na statek.

Chociaż wiadomość była pomyślna, zawiadowca uczuł nagle ukłucie w sercu. W tej chwili zrozumiał, czym jest dla niego to rozstanie. Koledzy nie domyślali się jeszcze losu psa... Ale trzeba będzie im w końcu o wszystkim powiedzieć... „Jak przyjmą to dzieci?” - zamyślił się kolejarz. Zaczął się obawiać, że będą miały do niego żal...

Lampo wrócił w tydzień później. Był zmizerowany, ale wesoły. Powitano go z radością, jak zawsze. Zawiadowca wziął psa do kancelarii, przytulił do piersi i rozplakał się.

W dwa dni później zawiózł go osobiście aż do Neapolu. Miał szczęście. Statek płynący na Sycylię stał właśnie w porcie. Kolejarz odszukał marynarza.

- Już myślałem, że nikt się nie zjawi - powiedział bosman. - Obróciliśmy już kilka razy... To ten pasażer? - spytał.

Poszli we trójkę do małej herbaciarni na nabrzeżu. Kolejarz usiadł ciężko przy stoliku i głaskał psa, który położył się u jego nóg. Lampo drżał na całym ciele. Spoglądał panu w oczy, ale ten odwracał głowę.

Odezwał się głos syreny wzywającej na statek. Mężczyźni wstali i podeszli do trapu.

Marynarz wziął psa pod pachę i wszedł po pomoście na pokład.

- Lampo! - szepnął zawiadowca. Zagryzł usta.

Pies stał na pokładzie i patrzył w wodę, jakby miał zamiar w nią skoczyć.

Przestrzeń między stateczkiem i nadbrzeżem powiększyła się. Marynarz wychylił się przez balustradę i skinął ręką. Zawiadowca nie oddał mu nawet pozdrowienia. Obrócił się i szybko wyszedł z portu.

XVIII

Minął miesiąc. Żaden z pracowników stacji nie wiedział jeszcze o tajemnicy przełożonego. Młody telegrafista wrócił już z urlopu, ale dotrzymał słowa i nikomu nie zdradził sekretu. Ludzie łudzili się więc, że pies zjawi się lada dzień. Wszyscy już za nim tęsknili.

- Wróci, wróci - pocieszali się. - Tylko patrzeć, jak wyskoczy z wagonu.

Uważnym wzrokiem przyglądali się każdemu pociągowi, który przejeżdżał przez stację. Zawiadowca pewnego dnia sam przyłapał się na tym, że z przyzwyczajenia wlepia oczy w drzwi wagonów. Nie mógł się już od tego powstrzymać...

Dzieci w Piombino były bardzo smutne. Czy domyślały się czegoś? Mało mówiły z ojcem o Lampo, ale z oczu ich wycierało nieme pytanie. Kolejarz nie mógł znieść tych spojrzeń. Pewnego dnia zdobył się na odwagę i zdradził rodzinie smutną tajemnicę.

- Nie martwcie się - powiedział, tuląc do siebie dzieci. - Lampo jest na pewno szczęśliwy. Dostał się w dobre ręce.

Akurat tego wieczoru nadszedł długo oczekiwany list z Sycylii. Stary ogrodnik donosił w nim, że pies dojechał szczęśliwie do Palermo.

„Mądra bestia - pisał staruszek. - Wielką mam z niego pociechę. Ale tęskni za wami. Najpierw nie chciał nic jeść. Teraz rozmyślił się już i żre. Dobry z niego stróż i przyjaciel. Tylko czasem ma te swoje napady. Ucieka wtedy z domu i podróżuje. Dwa razy był już w Patti, a niedawno zawędrował aż do Messyny. Węszy widocznie, jakby się dostać do was. Ale przez morze nie przeskoczy... Bądźcie spokojni, nie jest mu u mnie źle”.

Zawiadowca odczytał list dzieciom. Nie uspokoiły się, lecz zmarkotniały jeszcze bardziej.

- A widzisz? - powiedział mały Roberto. - On chce do nas wrócić.

Całymi dniami siedziały teraz na plaży i spoglądały na morze, które dzieliło je od przyjaciela. Jak daleko było z Piombino do tej Sycylii schowanej gdzieś za horyzontem! W

pogodne dnie z plaży można było dostrzec tylko wierzchołki górzystej Elby. Lśniły w słońcu barwą zaśniedziałej miedzi, a czasem były różowe. Na wyspie tej więziono kiedyś wielkiego człowieka. Ale miał on przyjaciół, którzy pomogli mu wydostać się z niewoli. A sam taki potężny i mądry... I bliżej mu było do brzegu...

- Jak dorosnę - powiedział Roberto do siostry - to wsiądę na statek i przywiozę Lampo. Zobaczycie!

Któregoś dnia na stację zadzwonił redaktor gazety. Miał zamiar znowu napisać o Lampo wielki reportaż, bo czytelnicy domagali się nowinek o swoim ulubieńcu.

Zawiadowca odpowiedział prawie niegrzecznie, że nic nie wie o psie. Miał urazę do tych natrętnych ludzi, którzy zburzyli mu spokój. Wiedział, że gdyby nie hałaśliwa reklama, którą zrobili jego stacji, Lampo nie musiałby opuszczać Marittimy.

- Miejmy nadzieję, że pies wkrótce wróci - powiedział nie zrażony redaktor.

- Proszę nas o tym zawiadomić.

Kolejarz z trzaskiem rzucił słuchawkę na widełki. Ostatnio coraz częściej musiał odpowiadać na pytania wielu ludzi, których ciekawił los psa.

Konduktorzy z wagonów sypialnych i restauracyjnych, inspektorzy z dyrekcji i znajomkowie z miasteczka nie dawali mu spokoju.

- Powinien pan częściej dzwonić do Rzymu i Neapolu - radzili. - A także do Padwy, Ferrary, a nawet Tarentu. Gdzieś na pewno musieli go widzieć...

Szkoda zostawiać psinę na łaskę losu...

Koledzy ze stacji nie udzielali żadnych rad. Może dlatego, że zaczęli się już wszystkiego domyślać... Chodzili z opuszczonymi głowami... Żaden z nich nie robił jednak zawiadowcy wymówek...

XIX

Kolejarz, który przyjechał właśnie z dalekiego Reggio, nie dawał się zbić z tropu. Uparcie powtarzał to samo.

- Wiec widział go pan na tej stacji? - pytał zawiadowca.

- Tak jak pana widzę. Nie poznałbym? Zaraz zawołałem do niego z okna. Poznał mnie, bo pobiegł za pociągiem. Nie mogłem wyskoczyć...

- I wrócił pan do Reggio?

- Następnym pociągiem. Ale minęło parę godzin i psa na stacji nie zastałem.

Kolejarze mówili, że podobno wsiadł do pospiesznego...

- Kto wie, gdzie zawędrował - mruknął zawiadowca. - W każdym razie udało mu się wreszcie wydostać z Sycylii. Tylko jak to zrobił? To ci dopiero spryciarz!

Roześmiał się. Po raz pierwszy od kilku miesięcy odczuł ulgę. Był dumny z Lampo. Wiedział, że czekają go nowe kłopoty, ale w tej chwili nie potrafił martwić się na zapas. Nazajutrz, aby sprawdzić wiadomość, wysłał na Sycylię list z zapytaniem o Lampo. Stary ogrodnik odpisał, że pies istotnie zniknął przed tygodniem i nie pokazał się więcej. „Miałem z nim już kłopot - zwierzał się stary. - Biedak marniał, aż żal było patrzeć. Jednak nie wierzę, aby udało mu się uciec z wyspy. Jestem pewny, że wkrótce wróci do mnie znowu...”.

- Zobaczmy - powiedział kolejarz chowając list. Podzielił się nowiną z kolegami. Pokiwali głowami. „- Nie ma w tym nic dziwnego - odezwał się jeden. - Czy nasz Lampo nie potrafi sobie poradzić?

Zacząli przypominać sobie wszystkie dalekie podróże ulubieńca.

Czas upływał. Załoga stacji żyła teraz w napięciu. Lada dzień mógł przynieść niespodziankę... Wszyscy byli dobrej myśli, tylko bufetowy swoim zwyczajem wątpił w szczęśliwy powrót psa.

- Uwiązali go gdzieś na łańcuchu. Albo zdechł z głodu, biedaczek - mrucał sprzedając serdelki i piwo. - Zobaczcie, że to wszystko źle się skończy.

- Nie gadałbyś - złościł się kolejarz. - Kraczesz jak kruk.

Usiłowali lekceważyć wróżby bufetowego. Ale zaczęli się już niepokoić.

Trochę za długo trwało to oczekiwanie...

Minęło jeszcze kilka tygodni. Bufetowy na każdą wzmiankę o psie nie mówił nic, tylko kiwał głową. Powoli przestawano mówić o Lampo. Nikt już nie przyglądał się pociągom. Wszyscy byli już zmęczeni czekaniem...

Była późna jesień, gdy do kancelarii stacyjnej zapukał jeden z kolejarzy.

Stanął przed drzwiami, jakby się namyślał, czy wejść do środka. Wreszcie nacisnął klamkę.

Zawiadowca spojrzął na zawiniątko trzymane przez kolejarza i poblądł.

Zrozumiał wszystko.

- Żyje? - spytał.

- Żyje. Tylko ledwie dyszy - mruknął konduktor. Ostrożnie położył tobołek.

- Podali go właśnie z pospiesznego - powiedział opuszczając wzrok. - Ledwie się trzymał na nogach, ale zlął. Twardy pies. Honorowy.

Zawiadowca rozwinął szmatę, którą był okryty pies i spojrzął na przyjaciela.

Jak przez mgłę oglądał jego rany. Lampo podniósł głowę. Usiłował wstać.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - rozpląkał się nagle zawiadowca. - Nie martw się... Chłopcy! - krzyknął wybiegając na peron. - Lampo wrócił!

XX

Cała brygada dworcowa zajęła się chorym. Jeszcze tego samego dnia z miasteczka sprowadzono weterynarza, który opatrzył rany nieszczęśliwego psa.

Lekarz wziął się do rzeczy uczciwie i z zapałem. Nie chciał nawet pieniędzy.

- Wyżyje - powiedział. - Moja w tym głowa.

Doktor codziennie odwiedzał stację. Był to gruby i czerwony na twarzy człowieczek o bardzo pocziwym spojrzeniu. Miał, jak to mówią, szczęśliwą rękę. Sprawdziło się to i teraz. Lampo z wolna zaczął wracać do sił. Przez długi czas leżał w koszyku ustawionym w kącie kancelarii i wodził tylko oczami za panem. Początkowo prawie nic nie jadł, chociaż kolejarze znosili mu najlepsze smakołyki. Dopiero po kilku dniach wypił po raz pierwszy całą miskę mleka. Próbował wstawać.

- Leż - upominał go zawiadowca. Korzystał z każdej wolnej chwili, aby doglądać małego przyjaciela. Gładził go po głowie i bawił się jego uszami.

- Jak nabierzesz trochę sił - mówił - zabiorę cię, biedaku, do Piombino. Do dzieci. Dobrze? Bo tutaj nie mogę cię trzymać...

Pewnego dnia zadzwonił telefon z dyrekcji kolei. Zawiadowca podniósł słuchawkę.

- Dowiedziałem się - odezwał się znajomy głos srogiego naczelnika - o powrocie psa. Gratuluję panu.

- Dziękuję - bąknął kolejarz. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Cieszę się - powiedział zwierzchnik. - Naprawdę się cieszę. A teraz proszę wysłuchać polecenia władz i wypełnić je co do joty... Otóż musi pan...

- Tak jest - wyjąkał zawiadowca. Poczł łód w sercu.

- Musi pan dołożyć wszelkich starań, aby ten włóczykij wyzdrowiał.

Zrozumiane? Takie jest nasze życzenie.

- Rozkaz, panie naczelniku! - krzyknął kolejarz. Miał teraz ochotę zatańczyć.

- Zasłużyliście obaj na wyjątkowe względy - rzekł srogi naczelnik. - Może już pan zatrzymać psa na zawsze. Trudno walczyć z wielką miłością - roześmiał się. Powiesił słuchawkę.

Po paru tygodniach Lampo zaczął już chodzić po całej stacji. Czuł się coraz lepiej. Spoważniał tylko i nie okazywał jak dawniej ochoty do figlów.

Zawiadowca chciał, aby pies zamieszkał na stałe w Piombino. Zawiózł go tam któregoś dnia i oddał pod opiekę dzieci. Jednak Lampo, chociaż ucieszył się na widok małych przyjaciół, następnego dnia wymknął się z domu i wrócił pociągiem do Marittimy. Widocznie uważał, że tam jest jego miejsce.

- Nie chcesz jeszcze iść na emeryturę? - śmiał się kolejarz. - Dobrze, piesku, pójdziemy kiedyś razem.

Dzieciaki były tak stęsknione za przyjacielem, że prawie co dzień po lekcjach odwiedzały go w ojcowskiej kancelarii. Pewnego dnia przyjechała tam nawet matka z małą Adele. Dziewczynka biegała już jak młoda kózka. Od razu zmusiła do zabawy poważnego Lampo.

Tego dnia na stacji zjawił się także wysłannik największego rzymskiego dziennika. Kiedy wszedł do kancelarii i powiedział, o co mu chodzi, zawiadowca nastroszył się.

- Nie udzielamy już żadnych wywiadów. Pan wybaczy...

Dziennikarz nalegał jeszcze chwilę, aby opowiedzieć mu o ostatniej wielkiej podróży Lampo, ale kolejarz był nieubłagany. Zawiedziony redaktor poszedł więc do bufetu. Prawdopodobnie liczył na to, że przy szklance wina uda mu się dowiedzieć czegoś od innych kolejarzy. Po drodze spotkał dzieci zawiadowcy, które bawiły się na peronie.

- Czy można zaprosić na ciastka moich małych przyjaciół? - spytał z uśmiechem.

Zbliżała się pora przyjazdu popołudniowego ekspresu. Słychać już było gwizd nadbiegającej lokomotywy. Zawiadowca nie wychodził zwykle do tego pociągu.

Teraz słysząc go, poderwał się nagle z miejsca. Jakieś przecucie kazało mu wyjść na peron.

Stacja była pusta jak wymiół. Ze swojego biura wychodził właśnie zastępca.

Mężczyźni spojrzeli przed siebie i krzyknęli.

Na szynach trzeciego toru, w odległości kilkudziesięciu metrów od pędzącej lokomotywy, bawiła się najspokojniej mała Adele. Obaj mężczyźni rzucili się w jej kierunku skacząc przez tory. Byli jeszcze spory kawałek od dziecka, gdy wyprzedził ich Lampo. Odbił się jak gumowa piłka i dał potężnego susa tuż przed samą lokomotywą. Zdażył pchnąć dziewczynkę.

Pociąg przeleciał z łoskotem jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanął.

- Adele! - krzyknął zawiadowca. Obaj z zastępcą przebiegli na drugą stronę pociągu. Adele otrzepywała właśnie sukienkę z piasku.

- Adele!

Spojrzała na ojca i uśmiechnęła się. Zapewne nie zdawała sobie dobrze sprawy z tego,

co się stało.

Nadbiegł maszynista. Z okna wyrzało kilku zaciekawionych pasażerów.

Zawiadowca wziął córeczkę na ręce i wrócił na stację. Wiedział, że za chwilę będzie musiał pójść po Lampo, który został tam, pod kołami. Usiadł i ukrył głowę w dłoniach.

- Co ci jest, tatusiu? - spytała zdziwionym głosem dziewczynka.

* * *

Taka jest historia niezwykłego psa, który naprawdę żył kilka lat temu we Włoszech. Zna ją każde włoskie dziecko. Jego grób znajduje się blisko budynku stacji, na której zginął - do dziś przetrwała tam pamięć o wiernym Lampo.

Myślę, że mały bohater zasłużył na to, aby nie zapomnieli o nim i nasi czytelnicy.

KONIEC KSIĄŻKI